

Niechciana wolność

Pragnienie życia, pragnienie miłości i pragnienie wolności to trzy najważniejsze instynkty pierwotne, determinujące byt człowieka. Są one tak mocno związane z istotą człowieczeństwa, że nie wyobrażamy sobie, żeby mogło być inaczej. A jednak zdarzają się wyjątki od tego. Uważamy je za przypadki patologiczne, nie zgadzamy się z nimi i piętnujemy je.

Utrata pragnienia życia wiedzie do samobójstw. Utrata pragnienia miłości prowadzi do nienawiści i wyrządzania innym krzywd. Utrata pragnienia wolności doprowadza do bierności i beznadziei.

Orest nie czuł pragnienia wolności. Może nie cały czas, nie całe życie, ale od pięciu lat na pewno tak. Teraz miał trzydzieści dwa lata i wielką pustkę przed sobą. Za sobą zresztą też. Poza tym miał za sobą bramę więzienia. Przekroczył ją przed chwilą. Upřednio uczynił to osiem lat temu, przy czym wtedy trafił do pudła, zaś dzisiaj wyszedł z kicia.

Oczy aż bolały go od otaczającej bieli. Śniegu było co najmniej pół metra, a poza tym była na nim warstwa świeżo napadana ostatniej nocy, więc w tym białym puchu była i ulica, i chodniki, i drzewa, i krzewy, i trawa.

„Jak to dobrze, że nie zdążyły dojechać służby sprząające – pomyślał. – Ta biel to taka czystość i spokój. To wręcz niewinność przyrody”.

W zachwycie tym nie trwał jednak długo. Brama więzienna była co prawda za nim, ale przed nim był wszak świat, którego nie pamiętał już od wielu, wielu lat. Nie wiedział, jak wejść w niego. Był poniedziałek 17 stycznia 2011 roku, godzina prawie wpół do dziewiątej. Na ulicy nie było żywej duszy. Nawet psa, w tym z kulawą nogą.

„Przywieźli mnie tu przed ośmiu laty kataryną, eleganckim granatowym volkswagenem transporterem z przyciemnianymi szybami i siatką w oknach oraz z białym paskiem i kogutami na dachu, na czas podróży dali przy tym do towarzystwa dwóch przystojnych panów w granatowych uniformach, a dzisiaj puścili mnie pieszo. Czy to sprawiedliwe?”

Musiał podjąć decyzję, w którą stronę się udać. Zdecydował, że pójdzie na prawo od bramy, bo wydawało mu się, że ten kierunek zaprowadzi go do cywilizacji. Po prostu po spojrzeniu w lewo ujrzał wielką połać pustej, białej przestrzeni – zapewne jakieś pole. Droga w prawo natomiast kończyła się zakrętem. Ruszył zatem, ale marsz jego był w tempie ot takim, jakby od niechcenia. Ponadto półbuty na skórzanej podeszwie nie były najlepszym obuwem na dzisiejszą aurę.

Pytanie „czy to sprawiedliwe?” towarzyszyło mu przez ostatnie osiem lat bez przerwy. Różnica polegała jedynie na tym, że początkowo próbował odpowiedzieć sobie na nie, a potem już tylko miał je w podświadomości i z góry odrzucał próbę jego rozważania. Owo „potem” było wtedy, gdy jednoznacznie zdecydował, iż nie ma to sensu, a przynajmniej na razie, gdy był jeszcze za murami.

Po dziesięciu minutach od bramy dzieliło go jakieś pięćset metrów, a on czuł, że ten świat, który opuścił dopiero co, ten świat za wysokim murem to już jakaś odległa przeszłość, jakieś ledwie majaki. Z drugiej jednak strony zdawał sobie sprawę, że ten świat to ćwierć jego życia i raczej nie ustrzeże się przed upiornymi powrotami jego myśli do niego, do maniury z firanami¹ i do kierata². Teraz jednak było mu wygodniej bez tego świata, który nigdy nie był „jego światem”.

Poza jego polem widzenia była teraz nie tylko brama i nie tylko mur otaczający jego świat, ale wręcz kontury więzienia zniknęły z zasięgu jego wzroku, oczywiście gdy się odwrócił. W międzyczasie na jego drodze był zakręt, a właściwie dwa. Tak po prawdzie, to nie były zakręty, a zaledwie lekkie łuki, pierwszy w prawo, a drugi

¹maniura z firanami (grypsera) – cela więzienna z kratami

²kierat (gryps.) – spacerniak

w lewo. Tak więc on teraz przechodził obok eleganckich domków jednorodzinnych. To był ten „nowy jego świat”. Co prawda nie w pełni jego, bo domki nie były jego, ale na swój sposób jego, bo taki był ten świat – jak ów, który utracił przed ośmiu laty.

Nagle jego droga skończyła się. Musiał znowu zdecydować, czy iść w prawo czy w lewo. Wybrał kierunek w prawo. Po zaledwie pięćdziesięciu metrach znalazł się na skrzyżowaniu i bez wahania zdecydował, żeby skrócić w ulicę w lewo. Wiedział bowiem, że w ten sposób powróci do poprzedniego azymutu. Po kolejnych pięćdziesięciu metrach ta droga skończyła się, zaś on znalazł się przy budynku szkoły. To go uspokoiło. Domyślał się, że ulica, przy której zlokalizowana jest podstawówka, musi mieć jakieś połączenie ze światem. Rozejrzał się i dojrzał przystanek komunikacji miejskiej. Tak oto dotarł do cywilizacji, do „jego cywilizacji”, czyli do miejsca, z którego mógł wyrwać się do „jego nowego świata”, który de facto był „jego starym światem”, tym, który opuścił przed ośmiu laty.

„Byłe w kierunku centrum, a potem jakoś to będzie – rozmyślał. – Na Mokotów to szmat drogi, ale mnie nie śpieszy się, więc jakoś dojadę”.

Zbliżając się do przystanku, zauważył, że pod wiatą czeka kilka osób. Ucieszyło go to, gdyż oznaczało ni mniej, ni więcej, tylko tyle, że autobus winien być lada moment. Nie mylił się. Nim doszedł, podjechał autobus linii 176, a on musiał podbiec, co nie było łatwe, zważywszy, że skórzane podeszwy nie były najlepsze do biegu po śniegu. Zdążył jednak i wskoczył do autobusu. Poczul ulgę, gdyż zaczęło już być mu zimno w stopy, a tak oto mógł szybko ogrzać się. Autobus ruszył, a on wpadł w jakieś odrętwienie. Nie zastanawiał się, dokąd prowadzi ta linia. Dla niego ważne było, że oddalał się od miejsca, które nie było mu odtąd miłe. Po chwili myśli jego powróciły do tak niedawnych wydarzeń.

Przed ósmą w kukielu mignęły gały, a zaraz potem drzwi celi otworzyły się jak zwykle z łomotem i stanął w nich klawisz. Wyglądał inaczej niż zazwyczaj – do jego twarzy przyklejony był uśmiech.

– Gerber, wyjść! – jego komenda była jak zwykle krótka.
– Co jest grane? – zapytał Orest.
– Jak to co? Wyjeżdżasz na wolke³ bracie. Coś ty zdurniał?
Nie pamiętasz, że to dzisiaj? No, wychodź szybko! Bez ceregieli!

Podał pośpiesznie grabę Dziadkowi, Łokietkowi i Bańce. Nie padły żadne słowa. Tamci też nic nie powiedzieli. Potrząsając jego wite⁴ kiwnęli tylko po razie pacynami⁵. Wyszedł zatem z celi bez szemrania. Tuż jednak przed zatrzaśnięciem drzwi przez klawisza, gdy szczelina była dosłownie na szerokość dłoni, w zgrzycie skrzypiących zawiasów dosłyszał dość ciche słowa Dziadka:

– Trzymaj się, Orka!

Przez tę milisekundę i przez tę szparę w drzwiach dojrzał jeszcze twarz Dziadka i szybko potaknął dwa razy, żeby tamten zrozumiał, iż jego słowa dotarły.

Z depozytu wydano mu jego rzeczy osobiste – ubranie i portfel z dokumentami. W oddzielnym woreczku był depozyt złożony przez policję – klucze do jego mieszkania. Podpisem potwierdził odbiór depozytu, przebrał się, oddał mandżura⁶ i udał się na dyżurkę, gdzie wydano mu zaświadczenie o odbyciu kary oraz przepustkę dla wartownika na bramie i piątaka na początek.

– Do widzenia! – jego słowa do dyżurnego wydały mu się nie na miejscu, ale takie przyszły mu na myśl w pierwszej chwili i skwapliwie z nich skorzystał.

– Czolem! Powodzenia! – odpowiedź dyżurnego podobała mu się.

– Czolem! – powiedział zatem do wartownika na bramie, dając mu do ręki przepustkę i ciesząc się, że dyżurny podpowiedział mu formę pożegnania.

– Do widzenia! – odpowiedział młodziutki wartownik i napotkał wzrok Oresta pełen złości.

Ledwie ujechali kilometr od przystanku początkowego, a już napotkali pługosolariki. Mróz musiał być nie tak wielki, jak mu się

³wyjechać na wolke (gryps.) – wyjść na wolność

⁴wita (gryps.) – ręka

⁵pacyna (gryps.) – głowa

⁶mandżur – wyposażenie więźnia

wydawało po przemarznięciu nóg, bo tuż po przejechaniu pługów na jezdni robiła się breja z pozostałości śniegu.

Droga biegła teraz wzdłuż torów po prawej i zabudowań przemysłowych po lewej stronie. Nie był to zatem widok do podziwiania i dlatego myśli Oresta ponownie wróciły na teren więzienia.

„Ta dzisiejsza moja wolność tak właściwie to jest niechciana. Dokąd niby mam wracać? Do pustej chawiry⁷? Do pustego życia? Czy ja będę potrafił odnaleźć się w świecie, który opuściłem przed ośmiu laty?”

Osiem lat to szmat czasu. Początki pobytu Oresta w więzieniu nie były łatwe. Trafiał do celi, w której przebywali już Łokietek i Bańka. Kilka dni wcześniej celę tę opuścili dwaj inni więźniowie i tak oto Łokietek i Bańka stali się jej panami. Dali o tym znać Orestowi od razu od pierwszego dnia, czyli 17 marca 2003 roku. Łokietek przywitał go potężnym ciosem łokciem w brodę, zaś Bańka pięścią w samarę⁸.

Łokietek nie był bynajmniej małego wzrostu, jak swego czasu król Polski. Miał prawie metr osiemdziesiąt. Jego muskulatura była niezła, choć mieściła się w granicach przyzwoitości i normy. Swoją ksywę zawdzięczał temu, że nie atakował nikogo ani pięścią, ani kopniakiem, tylko zawsze ciosem prawym łokciem. Potrafił nim sięgnąć w głowę, podbródek, pierś, brzuch czy genitalia przeciwnika. Tak naprawdę to nosił imię Ryszard.

Bańka natomiast był niski, bo nie miał nawet metra siedemdziesiąt, a do tego wąska pierś oraz szeroka pupa i wydatny brzuch dawały mu wygląd bańki od żarówki. Wszystkiego dopełniała łysa, okrągła głowa i bardzo krótka szyja. Tak po prawdzie to wyglądał jak ruska matryoszka, ale jakoś nikt nie wpadł na taki pomysł ksywy, a proponowanie Bańce zmiany tejże równałoby się zapewne z pajdą⁹. Prawdziwe jego imię brzmiało Zenon.

Przez dwa tygodnie raz dziennie współlokatorzy z celi ciosem przypominali Orestowi o jego miejscu w szyku, życzyli sobie co lep-

⁷ chawira (gryps.) – dom, mieszkanie

⁸ samara (gryps.) – brzuch

⁹ pajda (gryps.) – kara śmierci

szych kęsów z platera¹⁰ i stale wyznaczali mu dyżur do sprzątanania parkietu¹¹ i bardachy¹², a szczególnie do machania berłem¹³. Od jego imienia nadali mu ksywę Orka, że niby taki drapieżny, a jednocześnie starali się za wszelką cenę dowieść, że nie ma w nim owej drapieżności.

Po ośmiu dniach cela dopełniła się o osobę Dziadka. Gdy przyszedł, to przedstawił się jako Zbigniew, lecz szybko otrzymał ksywę Dziadek. Nie był aż tak stary – miał dopiero czterdzieści cztery lata. Dostał odsiadkę za zabójstwo syna, a że siedemnastolatek był jedynakiem, to pozbawił się tym samym możliwości bycia dziadkiem. Bardzo nad tym ubolewał i z tego właśnie ubolewania zrodziła się jego ksywa.

Dziadek w młodości był najpierw bokserem, a potem ciężarowcem. Doszedł do tytułu wicemistrza Polski w kategorii ponad 105 kilogramów. Miał 193 centymetry wzrostu i 118 kilogramów masy. Łokietek i Bańka nawet nie próbowali mu podskoczyć. Nie zaprzestali jednak wyzywać się na Orce. Zauważył to Dziadek i postawił sprawę jednoznacznie:

– Dajcie se siana! Tu nikt nie będzie podskakiwać. Każdy dostaje to, co mu przydzielają, i robi to, co mu każą. Sprzątanie w celi należy do obowiązków każdego, zaś ty, Bańka, masz tak wymyślić grafik dyżurów, żeby nikt nie miał ani jednego dnia więcej niż inni.

– Ależ to niemożliwe – bronił się Bańka. – Wojtek¹⁴ ma trzydzieści lub trzydzieści dni, a nas jest czterech. To nie da się podzielić.

– To twój problem, żeby się dało! Jasne?

– Czego ma nie być jasne? Pomyślę.

Okazało się, że wymyślił. Dni od pierwszego do dwudziestego ósmego szły co miesiąc według układu BDŁO, czyli alfabetycznie, zaś wszystkie dni po 28 miały iść po kolei w tym samym układzie,

¹⁰plater (gryps.) – talerz

¹¹parkiet (gryps.) – posadzka

¹²bardacha (gryps.) – ubikacja

¹³berło (gryps.) – szczotka do sedesu

¹⁴wojtek (gryps.) – miesiąc

co oznaczało, że poczynając od marca wypadało: 29 – Bańka, 30 – Dziadek, 31 – Łokietek, zaś w kwietniu: 29 – Orka i 30 – Dziadek. Wszyscy się na to zgodzili i tak oto nastął nareszcie porządek w maniurze.

Łokietek i tak dalej trzymał sztamę z Bańką, co najlepiej widać było na gołębniku¹⁵, zaś Dziadek lubił rozmawiać z Orką, i to z wzajemnością.

Autobus dojechał na Plac Hallera i skończył bieg. Orest nie znał dobrze tej części miasta i dlatego podziwiał zabudowę praskiej części stolicy. Wychodząc z autobusu, zapytał kierowcę, czy przypadkiem nie wie, jak ma dalej jechać do centrum. Kierowca wskazał mu przystanek i podał numer linii – 174. Tym razem było jeszcze lepiej, bo autobus czekał na przystanku początkowym i tak oto dane mu było uniknąć marznięcia w tym jego nieco zbyt skromnym odzieniu. Zanim autobus ruszył, a było to nie mniej niż po pięciu minutach od wejścia doń Oresta, przedrzemał się jeszcze trochę, wracając w podświadomości do tego miejsca, które zostało teraz kilkanaście kilometrów stąd.

Gdy znalazł się za kratkami, a dostał się tam zupełnie niewinnie, były w nim bunt i złość. Jego niewinność to nie było zwykłe zaprzeczanie wnioskowi proroka¹⁶, to nie było też poczucie urojone, lecz był to niezbity fakt. On o tym wiedział doskonale, ale niestety tylko on jeden. Wszelkie dowody świadczyły przeciwko niemu i dlatego wyrok był surowy – dwanaście lat pozbawienia wolności. Jego najmimorda¹⁷, a był on nadany mu z urzędu, naprawdę starał się i dlatego Orest nic przeciw niemu nie miał. Papuga chciał zakładać apelację, lecz on nie zgodził się na to. Po prostu odechciało mu się walki – nie miał zamiaru ponownie próbować udowodniać, że nie jest wielbłądem. Jednakże bunt i złość gościły w nim przez kilka lat. Była to złość na sąd, który go skazał, i bunt przeciwko systemowi prawa, który na to pozwalał. Ów

¹⁵gołębnik (gryps.) – spacerniak

¹⁶prorok (gryps.) – prokurator

¹⁷najmimorda (gryps.) – adwokat

bunt wynikał właśnie stąd, że on, Orest, doskonale wiedział, iż był niewinny.

Autobus skręcał na Most Świętokrzyski. Jego wanty pięknie prezentowały się na tle Skarpy Wiślanej i wyłaniających się z oddali zarysów wieżowców stołecznego centrum. Nie było słońca, a powietrze nie było przejrzyste, więc wieżowce te jawiły się jak duchy na horyzoncie. Sylwetka Pałacu Kultury i Nauki urywała się na wysokości jego zegarów – górne części cyferblatów znikwały już w chmurach.

Omiatając widnokrąg z prawa do lewa Orest dojrzał w oddali zarys Stadionu Narodowego. Wyglądał jak szary, ażurowy koszyk bez pałaka, postawiony przy kępie nadwiślańskich drzew i krzewów. Gdyby miały liście, można by pomyśleć, iż jest to kosz na poziomki, jagody, jeżyny lub grzyby, postawiony tam przez dziewczynę, której sylwetkę można będzie wypatrzeć gdzieś nieopodal. Teraz drzewa pokryte były białym, śnieżnym puchem, zatem po co miałyby przyjść dziewczyna? Zapewne po owoce jałowca, bo te nie opadają na zimę.

„Będę musiał kiedyś przyjechać odrębnie, żeby obejrzeć to cudo, jakim ponoć jest nasz stadion. Właściwie i dzisiaj mam czas na to, ale niestety ubranie nie takie. Moja kurtka lekka, wiosenna, bez podpinki. Tak samo i sweterek w serek. Żadnego szalika, żadnych rękawiczek. Nie. Dzisiaj nie ma niestety warunków do zwiedzania miasta. Zresztą, po co się śpieszyć? Będę miał na to bardzo dużo czasu”.

Autobus wspinał się Tamką. Obok fontanny ze „złotą kaczką” przy Pałacu Ostrogskich zobaczył nowoczesny budynek, który miał na dole klasyczną fasadę, zaś u góry nowoczesną bryłę.

„Kilka razy przejeżdżałem tędy i zawsze wkurzałem się na rudę stojącą obok Pałacu. Było to ponad osiem lat temu. Teraz jest to odbudowane. To dobrze. Nawet podoba mi się to rozwiązanie. Dobrze, że przed rokiem była rocznica urodzin Chopina”.

Dalsze widoki były mu już dobrze znane. Zauważył, że wszystko to za oknem autobusu podobało mu się. Podobały mu się i budowle, i ludzie, których było tu już mnóstwo. Zaczął się więc dziwić sobie, dlaczego z taką rezygnacją osiem lat temu przestał walczyć

o wyrok uniewinniający i o wolność dla siebie. Teraz przez kilkanaście minut ta dzisiejsza wolność wydała mu się chciana, lecz zaraz uświadomił sobie, iż nie ma do kogo wracać, i ponownie stała się ona konieczną, niechcianą, zastaną.

Przy stacji metra Świętokrzyska przesiadł się w tramwaj jadący Marszałkowską w kierunku Mokotowa. Bardzo mu się ta jazda podobała, bowiem w czasach, gdy był na wolności, Warszawa jeszcze nie dysponowała takiego typu nowoczesnymi tramwajami. Podawana ciepłym głosem spikera informacja o przystankach działała kojąco na jego psychikę. Pomyślał, że w najbliższym czasie wiele jeszcze rzeczy może go zaskoczyć. Spojrzał na zegar na Pałacu Kultury – była dziesiąta. Tymczasem w tramwaju dwie panie zawzięcie dyskutowały, a właściwie jedna przez drugą epatowała radością w związku z niedawną decyzją Papieża Benedykta XVI o wyznaczeniu terminu beatyfikacji jego poprzednika Jana Pawła II na dzień 1 maja 2011 roku.

– Gdyby tegoroczna Wielkanoc nie była tak późno, to beatyfikacja odbyłaby się kilkanaście dni wcześniej – tłumaczyła ta tęższa, w nieco wytartym futrze. – Papież zmarł w wigilię Niedzieli Miłosierdzia Bożego, która jest zawsze tydzień po Wielkanocy, i w tym roku będzie wynoszony na ołtarze właśnie w Niedzielę Miłosierdzia Bożego.

– A ja bym wołała, żeby beatyfikacja była w rocznicy śmierci – oświadczyła druga, szczuplejsza, ubrana w jasną kurtkę.

– Zaraz zobaczę w telefonie. . . – pierwsza wyjęła elegancki aparat bezdotykowy. – Drugi kwietnia będzie w sobotę, więc by pasowało. Ale, co tam! W maju będzie już ciepło. Widziała pani? Ceny hoteli w Rzymie nagle podskoczyły dwa, trzy razy.

– Znowu zbijają biznes na naszym papieżu – wzburzyła się szczuplejsza. – Ludzie nie mają umiaru, niestety.

Na Placu Konstytucji postanowił zrobić sobie przerwę w podróży. Wsiadłszy z tramwaju, obszedł plac dookoła. Ścisk był tak duży, że musiał uważać, aby kogoś nie potrącić, lub żeby jego ktoś nie potrącił. Na wystawach były jeszcze świąteczne dekoracje. Postałby zapewne przed każdą z nich dłużej, lecz te buty na

skórkowej zelówce. . . Podjechał autobus linii 505, akurat w stronę jego domu, więc wskoczył do niego.

Dopiero teraz zajrzał do zawartości swego portfela. Był dowód osobisty, ważny do września 2012 roku, karta miejska MZK, karta bankowa ważna do sierpnia 2003 roku, kilka kartek z odręcznymi notatkami i numerami telefonów oraz banknoty: jeden pięćdziesięciozłotowy, jeden dwudziestozłotowy i dwa dziesięciozłotowe. Była też jedna kartka niezmiernie dla Oresta ważna – to kartka od jego papugi, mecenasa Mączki, na której zapisał mu numery lokalizacyjne dla kwatery, na której pochowana została jego matka.

„Nazwisko miał miłą i posturę drobną, ale serce wielkie. Pocziwina ten mój haukacz¹⁸. Bardzo chciał mi pomóc, tylko że ja nie bardzo chciałem z nim współpracować. Byłem zbyt załamany. Potem to już była musztarda po obiedzie”.

W przegródce portmonetki były drobniaki, wszystkiego mniej niż siedem złotych. Ot, wszystko. Stwierdził, że prawdopodobnie jest w porządku, że nic mu nie zginęło.

Podczas jazdy autobusem zdążył zauważyć mimochodem, że nie ma już Supersamu przy Placu Unii Lubelskiej i że powstaje w tym miejscu nowy budynek.

„Będę musiał teraz szczegółowo przyglądać się każdemu fragmentowi miasta, bo wiele się zmieniło przez czas mojego kiblowania. Ja też się zmieniłem. Gdy byłem w mamrze, to zrozumiałem, że wolność, to akceptacja ograniczeń. Mnie nie było łatwo o tę akceptację, lecz gdy wypracowałem ją w sobie, łatwiej było mi znieść te prawie trzy tysiące dni. No i miałem szczęście, bo miałem podporę – przyjaciela i obrońcę” – z rozrzewnieniem pomyślał o Dziadku.

Wysiadł przy Parku Dreszera. Wejść na jego teren to byłaby ostatnia rzecz, jakiej życzyłyby sobie teraz. Wszak tutaj została zamordowana jego matka i w dodatku w tym czasie on był także w tym parku, nieświadom tego, co działo się z jego rodzicielką. Poszedł zatem wzdłuż ogrodzenia i skrzył w lewo w Ursynowską, przechodząc ponadto na jej drugą stronę.

¹⁸haukacz (gryps.) – adwokat